

ZAGRODA.

Pismo dla ludu.

Zagroda wychodzi 8 i 24 każdego miesiąca. — Zagroda kosztuje rocznie Zł. 3 w. a., półrocznie Zł. 1 cent. 50, kwartalnie cent. 75. — Ktoby sobie życzył przesłać z przedpłatą na „Zagrodę“ zarazem i przedpłatę na „Włościanina“ — płaci za oba pisma: rocznie Zł. 4 cent. 60, półrocznie Zł. 2 cent. 30, kwartalnie Zł. 1 centów 15.

(Włościanin wychodzi 1 i 16 każdego miesiąca.)

FRANCISZEK MIRECKI,

ślynnny organista a sławny muzykant.

Świat boży jest dla nauki, szczęścia i zbawienia ludzi. Można się dużo wyuczyć w domu, ale daleko więcej w świecie między ludźmi, jeno potrzeba mieć rozum, aby się nie uczyć złego, ale samego dobrego. Na kupie siedzieć w chałupie to nie zawsze dobrze, wszak nie wszyscy mogą żyć razem, ale trza koniecznie niejednemu ustąpić z placu ojczystego, pójść między ludzi i tam dopiero można znaleźć jaki los dla siebie. Bo nikt nie wie, gdzie mu co Bóg przeznaczył, a więc trza szczęścia sobie szukać, nikt nie wie, co ma dostać, a więc trza o to do ludzi pukać, a zawsze trzymać się Boga i swego proga, to znaczy, nigdy się nieprzerobić na Moskala, Niemca, Węgra, Turka, ale pozostać tem, czem cię Bóg stworzył a ojcowie wychowali. Że to wszystko prawda, opowiemy wam historyję na to.

Cały polski kraj rozebrali między siebie Moskale, Niemcy i Austryja, jeno zostawili kęs ziemi na około Krakowa i to miało przypominać Polakom na ich Ojcowiznę i nazywało się to wolnym polskim kraikiem z Krakowem stolicą. —

Otóż w Krakowie był przy kościele Panny Maryi stary organista, co się zwał Mirecki, a znał on tak zagrać na organach, że mu nie wyrównał lada kto. Dał mu Bóg kilkoro dzieci i te trza było żywić, okryć i do szkoły posyłać a potem wypchnąć z domu między ludzi, bo majątku nie było, a żyć trza było póki Bóg pozwoli. A więc jednego syna Franusia zaczął uczyć grać na organach i myślał go zostawić na swoim miejscu. Franus też grał i wyręczał

OGŁOSZENIA przyjmuje się po 4 centy od wiersza, z dopłatą 30 centów na stempel. — LISTY LUB PRZEKAZY POCZTOWE należy przesyłać pod adresem: Do redakcyi „Włościanina“ Ulica Gołębia wyższa Nr. 169, 2 piętro.

ojca. — Ale to jednostajne granie i śpiewanie sprzykrzyło mu się, chociaż miał inną przytem rozrywkę, bo chodził do szkoły a przytem wszystkiem lubił się strasznie uczyć mówić to po niemiecku, to po łacinie, to po francuzku i doprowadził do tego, że się potrafił rozmówić z Niemcem, Żydem, Francuzem i rozumiał to wszystko, co sam na chórze, albo co książdz po łacinie śpiewał i napisał. I dziwna to rzecz, żeby kto w 16 roku życia umiał już tyle rzeczy, co ten Franus Mirecki potrafił. — W tem umarł mu ojciec. Co tu robić? Otóż Franus poznał, że lepiej pójść między ludzi i tam szukać losu, niż być organistą bez swego numeru. — Z początku więc upodobało mu się pójść do apteki, gdzie to robią przeróżne lekarstwa na choroby, ale to dłubanie z ziołami i tłuczenie i gotowanie różnych korzeni, to robienie leków sprzykrzyło mu się wnet. Pomyślał sobie: Do czego nie masz ochoty, do tego się nie przymuszaj, a więc porzuć i w świat ruszaj, a da Bóg, znajdziesz czego szukasz, — choć nie wszystko co chcesz, to napewne choć połowę tego.

Porzucił aptekę, a że umiał różne mowy, to został zaraz profesorem i uczył dzieci na różne sposoby mówić. Było więc zaraz za co żyć, a to dla tego, że za młodu nauczył się różnych rzeczy. Tak żył kilka lat w Krakowie i znowu mu się sprzykrzyło to ciągłe gadanie z dziećmi, to nauczanie przez cały dzień. Pomyślał sobie znowu: Czy to tu w Krakowie cały świat się kończy? Czy to tylko tu ludzie żyją? A więc wyszedł z Krakowa i poszedł aż do Wiednia. A trzeba wiedzieć, że wtedy nie było jeszcze kolei żelaznej i że trzeba było albo pieszo drapać do Wiednia jaki miesiąc albo jechać furami najmniej dwie niedziele. To wszy-

atko nieturbowało nie Franusia, bo dla młodego nie ma nic trudnego. A kto szuka losu, to się musi napocić, napłakać, namorzyć, nabiedować, a w końcu zwycięży zawsze z pomocą Boga i ludzi, i tylko z dobrej szkoły i biedy można zostać czem kiedy! Tak się stało z Franusiem. W Wiedniu natrafił na pana polskiego Maxa Osolińskiego, który tam siedział, skupował książki stare i miał na myśli te książki zebrać do kupy, złożyć gdzie w kamienicy jednej i podarować Polakom, aby się mieli z czego uczyć. I zrobił tak, bo we Lwowie są dziś te książki w kamienicy, co się zowie biblioteka Ossolińskich. Otóż ten pan miłosierny, wziął Franusia do siebie, dał mu mieszkanie, okrycie, jedzenie i pytał: no! do czego ty Franusiu masz największą ochotę? Chłopak powiedział prawdę: Do muzyki! Otóż zaczął grać na skrzypcach, na fortepianie i tak się wyuczył, że nawet Niemcy w Wiedniu lubili go bardzo i dobrze mu płacili za granie. Ale pomyślał sobie znowu: Tu w Wiedniu nauczyłem się dużo, ale w świecie umięją ludzie jeszcze więcej, trza więc drapnąć tam i uczyć się dalej.

Opowiedział to panu Ossolińskiemu, który mu pochwalił ochotę do wędrówki po świecie za nauką, dał mu pieniędzy na drogę i tak Franus już dobrze wąsaty i chłop wyrosły poszedł do kraju włoskiego, gdzie są muzykanty na cały świat najlepsi. Ten dopiero wyuczył się grania tak, że mógł po wielkich miastach jeździć i popisywać się z graniem, a taki muzykant wydoskonalony zowie się z łacińska wirtuozem i cały świat wychwała go i płaci suto za granie. Tak więc pracą i nauką został Franciszek Mirecki muzykantem sławnym, a gdyby był siedział w Krakowie, byłby został organistą, może aptekarzem a może nauczycielem i na stare lata byłby mało kto go znał, a on przez pracę i naukę doszedł do tego, że go wspominali ludzie na całym świecie, a Polacy radowali się, że ich rodak robi im honor między ludźmi. Z kraju włoskiego pojechał on do Paryża, zebrał za granie swoje dużo pieniędzy i pomyślał sobie: Ja jestem Polakiem, muszę też z mej nauki zrobić coś dobrego dla Polaków, aby mieli pamiątkę po mnie; a więc zabrał się do roboty. Oto wiedział, że po kościołach polskich śpiewali Polacy nieszpory po łacinie i mało kto rozumie to, co śpiewa; ułożył więc śpiew śliczny do tych psalmów, które Kochanowski uczony Polak poprzód z łacińskiego na polskie słowa przetłumaczył i posłał to do Warszawy. Odtąd grali śpiewali Polacy psalmy

po polsku, najprzód po kościołach biskupich to jest katedrach, potem po kościołach farnych w miastach, a w końcu po kościołach parafialnych na wsi.

Ta pamiątka pobożna została do dziś po Franciszku Mireckim i niejednen z was śpiewa psalmy na nutę, jaką ułożył z głowy Mirecki. Tak więc odpłacił się Bogu ten Mirecki, za to, że mu dopomógł wyuczyć się między ludźmi muzyki! Ale trza było jeszcze odpłacić się ludziom tym, którzy mu podali pierwszy sposób do życia, a tymi ludźmi byli Krakowianie. Mirecki tak to zrobił.

W Szwajcaryi osiadł w mieście Genewie, gdzie się ożenił i tu żył 12 lat utrzymując się z muzyki. Ciągłe dumał o polskim kraju i nieraz przygrywał sobie krakowiaki, nieraz zapłakał sobie, gdy wspomiał na ojca i matkę w Krakowie, na tych panów, których dzieci uczył to muzyki, to różnych mów a których odszedł za młodu. Nie mógł się w tym żalu i płaczu uciśzyć, bo to prawdę powiadają, że każdy tam ciągnie, gdzie się ulągnie, że wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej żyć i umierać między swojakami, a jeżeli się ma jakim szczęściem z kim dzielić, to się pewnie najszczerzej podzieli z rodakami.

Przeszło to 24 lat z okładem, jak on wyszedł z Krakowa do Wiednia, ztąd do Włoch, do Paryża i do Genewy, jak objechał tyle świata i napatrzył się różnościom, a przecie nie został ani Francuzem, ani Niemcem, ani Włochem ale rodowitym z dziada pradziada Polakiem, ba! nawet swej polskiej mowy niezapomniał, choć przez tyle lat mówił z Niemcami, Francuzami i Włochami.

Zabrał żonę i wrócił nazad do ukochanego gniazda swego, do Krakowa. Roku pańskiego 1815 wyszedł za młodu, bo w 24 roku życia z Krakowa, a roku 1838 wrócił nazad w to samo miejsce, aby Krakowianom odpłacić nauką, jaką nabył w świecie między ludźmi. A cała nauka jego było śliczne granie i śpiewanie. Otóż dali mu Krakowianie chleb, bo go zrobili nauczycielem grania i śpiewu dla swoich dzieci. Gdy wychodził z Krakowa, to wtedy był Kraków miastem wolnem polskim, miał kęs ziemi z miastami i wsiami, miał swój polski rząd złożony z radnych i to się nazywało *rzeczpospolita krakowska*, gdy wrócił do Krakowa, zastał to samo, jeno nie zastał dużo Polaków, którzy pomarli albo byli w więzieniu, na Sybirze za to, że się upominali o Ojcowiznę. Teraz zabrał się do roboty z całych sił swoich i pra-

cował tak przez 24 lat. Przeżył rok straszny 1846 i patrzył się z płaczem wielkim na złość ludzi, którzy w zaślepieniu i zapomnieniu na boskie przykazania tyle złego narobili koło Krakowa i Tarnowa; widział, jak Niemcy zabrali Kraków i odtąd Kraków przestał być wolnym miastem, a został do Galicyi przyłączony, jakto do dziś jest.

Każdy Krakowianin znał go i nazywał go pocziwym starcem, bo był on bardzo pobożnym, uczynnym i mądrym Polakiem do końca życia. — Umarł też roku 1862 koło Zielonych Świątek, a Krakowianie sprawili mu suty pogrzeb, a ci jego szkolarze, których wyuczył grania i śpiewania zanieśli na swych ramionach trumnę na cmentarz i pochowali go uczciwie.

Otóż macie dowód w tej historii, że to pożyteczna i potrzebna rzecz dla niejednego, aby poszedł w świat między ludzi, gdzie może się dorobić czegoś dobrego, może sobie wynaleść uczciwy sposób do życia i zasłużyć sobie na chwałę i dobre imię u swojaków a u Boga na zapłatę wieczną.

Książd Wojciech z Zaleszan.

O DZIESIĘCIU

PRZYKAZANIACH BOSKICH.

Czy myślicie, że zaraz ludzie mieli jakie prawa i przykazania kiedy zaczęli zamieszkiwać różne strony ziemi? O, nie, tak nie było. Pierwsi ludzie żyli w zgodzie i miłości na świecie, — dla tego też nie potrzebowali żadnych ustaw i przykazań, coby kierowały ich postępkami. Rządzili się oni prawem natury, to jest tem, co im sumienie dyktowało. Jeżeli kto co zrobił, a sumienie powiadało mu, że źle zrobił, to na drugi raz unikał tego, coby mu wyrzuty sumienia sprawiać mogło. Nie było wtedy, ani zazdrości, ani nienawiści, zabójstwa, kradzieży i t. p. wad człowieka, bo ludzie kierowali się myślą, że: *nie czyn tego drugiemu, czegobys nie chciał, aby tobie czyniono.* Święte to były owe czasy!

Później dopiero, kiedy głos sumienia został przygłuszony rozmaitemi wadami człowieka, kiedy jeden na drugiego zaczął nastawać, pokazało się, że ludzie nie mogą żyć dalej bez przykazań. A że takich ustaw, coby ludzi mogły naprawić i wstrzymać od złego, nie mógł nikt inny dać, jak jakaś najdoskonalsza istota a nią tylko jest Bóg, więc też Bóg dał ludowi Izrael-

skiemu przez Mojżesza przykazania, których jest dziesięć. Wiecie zapewne dobrze, historję, jak Izraelici przeszli przez morze Czerwone, jak się później błakali po pustyni arabskiej i jak otrzymali od Boga dziesięć przykazań, więc nie będą wam tego opowiadał, ale zwróć uwagę waszą na same przykazania Boskie.

Kiedy Pan Bóg dawał przykazania przez Mojżesza ludowi Izraelskiemu powstały naraz straszne grzmoty i błyskawice i był słyszany głos z nieba:

Ja jestem Pan Bóg twój, którym cię wywiódł z ziemi egipskiej z domu niewoli.

Słowa powyższe dlatego dały się słyszeć, ażeby Izraelici nie myśleli, że ich Mojżesz, ale Pan Bóg wyprowadził z niewoli, i że przykazania nie Mojżesz, ale Pan Bóg im daje. — Grzmoty zaś straszne, błyskawice i pioruny powstały dla tego, w czasie podawania przykazań, ażeby Izraelici wiedzieli, że Pan ma karę w ręku swoim za wszelkie przestąpienie Jego woli najwyższej. Wiadomo nam, że przykazań jest dziesięć, a mianowicie:

1. *Nie będziesz miał bogów cudzych przedemną.*
2. *Nie będziesz brał imienia Pana Boga twego nadaremno.*
3. *Pamiętaj, abyś dzień świąteczny święcił.*
4. *Czczij ojca twego i matkę swoją.*
5. *Nie zabijaj.*
6. *Nie cudzołóż.*
7. *Nie kradnij.*
8. *Nie mów naprzeciwko bliźniemu twemu fałszywego świadectwa.*
9. *Nie pożądaj żony bliźniego twego.*
10. *Nie pragnij ani domu, ani wołu, ani ośła, ani sługi, ani służebnicy, ani żadnych rzeczy, które jego są.*

Przykazania owe dzielą się czworako, na: ściągające się do Boga, ściągające się do ludzi; na nakazujące i zakazujące.

Przykazaniami ściągającymi się do Boga nazywamy takie, które nam pokazują obowiązki względem Boga samego; do nich zaś należy: I, II i III. Przykazania owe są najważniejsze, jeżeli bowiem człowiek będzie wyznawał jednego najwyższego Boga, jeżeli będzie wszystko na chwałę Jego robił, wtedy i przeciwko drugim przykazaniom nie wystąpi. Życie jego stanie się wzorem do naśladowania dla drugich. Następujące znowu siedm przykazań nazywamy ściągającymi się do ludzi, ponieważ one tłumaczają nam, jak się mamy względem ludzi zachowywać, ażeby nasze postęпки wyszły na chwałę Bogu a bliźnim na pożytek.

Przykazania III i IV. nazywają się nakazującymi, ponieważ nakazują, co człowiek ma robić, — pozostałe zaś ośm zowiemy zakazującymi, bo nam tłumaczają czego unikać należy.

Przykazania Boskie były dane najprzód ludowi Izraelskiemu. Żaden inny naród nie miał praw tak doskonałych i nie wierzył w jednego Boga — tylko sami Izraelici czyli Żydzi. Byli oni też dumni z tego w obec innych narodów, które wyznawały religiję pogańską. Grecy, Egipcyanie, Rzymianie, Assyrejczycy i inne ludy żyli w pogaństwie tj. kłaniali się wielu bogom przez siebie wymyślonym. Egipcyanie np. czcili wołu jako boga, którego nazywali *Apisem*.

I było tak przez wiele wieków — dopiero kiedy Chrystus Pan przyszedł na świat i dał się ukrzyżować za wiarę swoją świętą, wtedy przez Jego naukę i przykazania Boskie od Żydów przeszły do innych narodów, które poznały światło Boże. Chrystus Pan bowiem nie przyszedł zburzyć praw swego Ojca przedwiecznego ale utwierdzić je w ludach na ziemi. Od Jego też czasów światło najwyższe rozlało się po całym świecie, które czyni każdego człowieka coraz więcej podobnym do swego Stworcy. Przykazania boskie zostały na wieki największem prawem dla człowieka, który pragnie życie swoje poświęcić na chwałę Boga, na pożytek bliźnich i tej ziemi, na której się urodził i wychował.

Ks. Szymon z Krakowa.

U b o g i e .

Na ulicy w Krakowie
Szumno, gwarno, wesóło
Mróz przejmuje do kości,
A śnieg pruszy na czoło.
Każdy spieszy, jak może,
Gdzie go woła potrzeba,
Ledwo spojrzysz na człeka,
Cośby człek był i z nieba.
W chwili gwaru i tłoku,
Co ulicą het płynie
Coś upadło na bruku,
Coś podobne dziecinie.
Oj! naprawdę dziecina
Padła naga, zziębnięta,
Była głodna nieboga,
Pędem koni popchnięta.

Chłopie leży, jak biedne,
Nikt nie spojrzysz na niego,
Ludzie idą, choć spojrzą,
Ale co im do tego?
Kiedy mały chłopozyna
Leży zmarzły na bruku,
Przyszedł Pietrek — dziecina
Z pośród gwaru i huku.
Przyszedł biedny, obdarty,
Jako Janek, co leży,

A więc pojął kolegę,
I z pomocą mu bieży...
— Janku, rzece, mój Janku,
Ty tu zmarzniesz nieboże, —
Wstań, chodź ze mną, mój drogi, —
O! bo zimno na dworze!
— „Mnie nie zimno, mój Pietrku,
Nie wiesz, jak mi jest miło...
I na spanie się zabiera...
Nawet mi się coś śniło...
Pozwól, Pietrku jedyny,
Niech tu dłużej zostanę, —
Ty idź rażno, nealuj
Moją matkę kochaną,
Ona biedna, tam głodna,
Może płacze z niedoli;
Więc ją pozdrów, lecz nie mów
Że mnie serce tak boli...“
— „Co, mój Janku, ty konasz,
Już zamykasz powieki?
O! biedaku, ja przecie
Twój przyjaciel na wieki!
Nie pozwolę ci skonać
Na lodowej pościeli,
Pójdiesz ze mną a w chacie
Będzie tobie weselej.“
I wziął Janka na ramię
Biedny Pietrek sierota,
Do ubogiej siedziby
Aż go przywiódł przed wrota.
Tam mu rzece: „Janeczku,
Mam ja tutaj trzy centy,
Com dziś dostał; — kup chleba
Kup, ot, z chlebem Walenty!
Biedne chłopie, trzy chlebki
Na straganie kupiło, —
A pojedłszy, na siłach
Jakoś znowu odżyło...
— Bóg ci zapłać, mój Pietrku,
Ześ od śmierci mnie zbawił,
Nie wiesz, jakbym mej matce
Śmiercią serce zakrwawił!...“

Oj, chłopięta, anioły.
Z waszem sercem dla braci,
Pocieszcie się w złej doli, —
Bóg wam będę zapłacił..

Fr. Ksaw. Martynowski.

WIECZORY PRZY KOMINKU

SPISANE PRZEZ

Franka Mazura.

(Ciąg dalszy).

— A cóżby powiedzieć, jak to, że dobrze zrobili, odparł Józefczyk, Niemcy, to zwyczajnie kręcą i kręcą aby im było lepiej — ale to nie nasza głowa do tego, nam, co mamy tyle kłopotów.

— Nie myślcie znów, żeby na kręctwie polegało takie stowarzyszenie, — owszem zależy ono od dobrej woli i zrozumienia swoich potrzeb, rzecze Walek z pod lasa.

— Ej, bo to nie może się nam w głowach pomieścić, jak Adlerczycy urządzili swój sklep i jakie z niego odnosili korzyści, wtrąci Sołtysik.

— No, moi kochani, widzę, że wam siedzi w głowie ów sklep — więc słuchajcie, a ja będę o nim mówił i opowiem, jakby go u nas urządzić można z wielką dla nas wszystkich korzyścią, rzekł Walek.

Do naszej gminy należy cztery wioski, jedna z tych wiosek ma 40 domów gospodarskich, druga 30, trzecia 35, a czwarta 20 czyli razem w całej gminie jest gospodarskich domów 125. Taka wielka liczba domów ma swoje potrzeby: temu potrzeba żyta, temu powrozów, tamiemu żelaza, owemu soli i mąki itp. tego zaś wszystkiego nie dostanie na okolice, jeno w miasteczku, do którego aż dwie mile drogi. Oczywiście, że każdy z nas rad nie rad, gdy mu potrzeba dokuczy, jedzie do miasta, choćby mu przyszło bydłęta w drodze zamęczyć i do ostatniego grosza się wyciągnąć. — W miasteczku wprawdzie na niczem nie zbędzie, ale cóż z tego, kiedy wszystko nie szczególne a strasznie drogie. A z kąd to pochodzi? oto ztąd, że tam kupcy nie bogaci i dbają tylko o swoją kieszeń; sprowadzają więc potrosze rzeczy do swoich sklepów z fabryk i miast wielkich, przeto owe rzeczy muszą być liche. Kupiec jednak nie dba oto, wie on bardzo dobrze, że gospodarze miejscy i wiejscy wszystko od niego wykupią i zapłacą dobrze, ponieważ podobnego towaru nie dostać na okolicę. Nakłada więc cenę jaka mu się podoba na żelazo, kosy, mydło, kaszę, łańcuchy, powrozy itp. przedmioty, a ludziska biedni płacą i płacą skubiąc się do ostatniego i krwawo zapracowanego grosza.

— Oj, prawda, prawda, miły Boże, wtrącił posmutniały Józefczyk.

— Co gorsza, doda Walek, jak nam potrzeba co zborgować w mieście, — to aż strach wspomnieć na to; nie dość, że trudno o kredyt ale jeżeli go znajdziesz, to ci tak ze sobą przyjdzie zapłacić później, żeby człowiek niemal zapłakał z żalu. Lecz trudno, jest nagła potrzeba — więc się bierze, nie licząc wcale, co dalej będzie. A przyznacie sami, że każdy grosz zbytecznie wydany w gospodarstwie — pociąga straty za sobą — zrazu nie wielkie, ale później

one rosną, coraz to więcej. — niszcząc nas stopniowo.

— Tak to już widać nasza dola, wtrącił Tumala, toczy człowiek siebie i nieba przychylił, byle jeno było w jego możliwości, cóż tu robić na biedę i ździerstwa, — ponoć człek muru głową nie przebije, jak powiada stare przysłowie.

— Ho, ho, ho, moi drodzy, nie myślcie, byśmy złemu nie mogli zaradzić, odrzekł Walek, jest na to sposób jeno się weźmy do niego.

— A to jaki? zapyta Sołtysik.

— Ot, bardzo prosty, odeprze Walek. Nasza gmina, jak nam wiadomo, składa się ze 125 osad gospodarskich — przypuśmy, że każda osada codziennie odkłada ze swoich wydatków po 5 centów, to składając tak przez rok cały, jedna osada złoży 18 złr. 25 c. Ponieważ zaś jest domów, czyli osad 125, wszystkie więc razem, robiąc podobną składkę złożą sto dwadzieścia pięć razy więcej, co wyniesie 2,281 złr. 25 c. Jestto znaczna suma, a przecież przyznacie, że ją nie trudno złożyć. Pięć centów na dzień w gospodarstwie to nic nie znaczy, można je łatwo zaszczędzić na jedzeniu, picciu, zabawie a nawet i robocie, a jednak te same 5 centów razem składają wiele pieniędzy. Cóż teraz robić z pieniędzmi zebranymi? Już tu łatwiej Zebrane pieniądze wystarczą na założenie sklepu wspólnego dla całej gminy.

Przypuśmy, że wynajęcie stancyi na sklep całorocznie będzie kosztować 30 złr. światło do sklepu 5 złr. różne sprzęty sklepowe 76 złr. — wynagrodzenie biedniejszemu gospodarzowi a za cenemu, za trudy około sprzedaży towarów, gdyż taki gospodarz do sprzedaży koniecznie być musi, 150 złr. razem więc na utrzymanie podobnego sklepiku, dodając jeszcze na nieprzewidziane wypadki 20 złr. potrzeba 281 złr. — Pozostaje się przeto z ogólnej sumy 2000 złr. Za owe pieniądze kupuje się towary, jakie tylko są potrzebne dla wioski, które się przeznaczają do ogólnego sklepu na wysprzedaż. Towary wszelkie muszą być daleko taniej sprzedawane jak w mieście, a to z następującego powodu. Najprzód, że rzeczy będą kupowane w większej ilości z głównych składów, a więc daleko taniej — powtóre, że w mieście utrzymanie sklepu kosztuje więcej, więc i ceny muszą być wyższe na towary położone, kiedy we wsi koszt utrzymania sklepu są mniejsze: ztąd też towar daleko taniej można oddawać. Jeżeli np. kupiec z miasteczka potrzebuje sprzedać jakąś rzecz za 1 złr. 50 c. za którą dał tylko 1 złr. a żeby mógł wyjść na

swoje i cokolwiek zarobić; to w sklepie wspólnym taką rzecz można oddać za 1 złr. 25 c.—zarabiając na niej więcej, niż kupiec miasteczkowy. Tym więc sposobem rzeczy daleko lepsze i taniej można będzie nabywać w miejscu, i nie potrzeba tłuc bydła i siebie niszczyć jeżdząc po towar gorszy i droższy do miasta.

Oprócz tego jest jeszcze jedna wielka korzyść ze wspólnego sklepu, tj. korzyść kredytu. Zdarza się nieraz człekowi, że i pieniędzy brakuje w kalecie, a tu na złość, jakaś rzecz koniecznie potrzebna. Idzie się więc wtedy do wspólnego sklepu, tam się bierze to co jest potrzebne, z warunkiem uiszczenia się później z należytości. Tutaj potrzeba, być każdemu człowiekowi bardzo sumiennym i punktualnym. Najmniejsze bowiem zarwanie, nadwiera interes sklepu całego a tem samem i gminy.

— Proszę was, mój Walku, a kto by na to wszystko zważał, czy sklep taki prowadzi się w porządku lub nie? przerwał Sołtysik.

— Jak nad każdą rzeczą i zakładem musi być nadzór, rzecze Walek, tak i podoby sklep musiałby mieć podobną władzę nad sobą. Władza ta jednak składałaby się z gospodarzy kilku, wybranych przez całą gminę i uważanych za najmądrzejszych we wsi. Gospodarze owi, prowadziliby kontrolę pieniędzy, dochodów i wydatków sklepowych, staraliby się o nabycie dobrych a tanich towarów, rozmyślaliby na co użyć pieniędzy, które są w kasie w sklepiku wspólnym itp. Oprócz tego, cała gmina mogłaby się zbierać w oznaczone miejsce przynajmniej dwa razy do roku, i na takim zebraniu czyli wiecy, uradziłaby, co ma dalej robić i jak postępować ze sklepem i pieniędzmi, które się zarobiło na sprzedaży towarów. Zarobek każdy, mógłby być użyty na sklep, albo też może być dzielonym na równe części pomiędzy wszystkie osady gminy. Podobne sklepy mogłyby istnieć w każdej gminie, potrzeba tylko chęci i głowy a wszystko się da zrobić niewątpliwie. Gdybyśmy np. pomyśleli o podobnym sklepie w naszej gminie, łatwoby nam to przyszło, — jakieśmy to dopiero widzieli z mojego opowiadania, a korzyści odnieśliśmy ogromne. Jeżeli też pod względem jakim, to niezawodnie pod względem założenia wspólnego sklepu Adlerczycy są godni naśladowania.

— Wiecie co, Walku, rzecze zaperzony Tu-mala, a możeby to było i dobrem, założenie wspólnego sklepu w naszej gminie, namby samym było trudno, ale wy, jako bywalec i człek

lepski, poradzilibyście temu, boć to pono szło by tutaj o waszą skórę.

— O, już do tego, to jestem zawsze gotów! odrzeczł Walek z pod lasa.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Maliny.

Prawie przy każdej chacie znajduje się ogródek nasadzony owocowymi drzewami albo pozasiewany marchwią, burakami, kwiatami itp. roślinami. Wiemy dobrze, jakie korzyści odnosimy z drzew owocowych i włośzczyzny, to też należy nam dla tego jeszcze większą uwagę zwrócić na ogródki, aby je ulepszyć i upiększyć, bo tym sposobem możemy mieć i korzyść daleko większą z owego kawałka ziemi, a oprócz tego i wiele przyjemności w życiu, która wpływa zbawiennie i na zdrowie nasze. Pora obecna jest właśnie stosowną, aby myśleć o ogródkach.

Do krzewów owocowych w ogrodach naszych należą i maliny, chociaż one bowiem przeważnie rosną dziko po lasach, to przecież starannie pielęgnowane i dorodniejszy i obfitszy wydadzą owoc. A warto pielęgnować maliny dla ich smacznego i zdrowego owocu i wielorakich z niego użytków.

Malina lubi ziemię czarną i wilgotną a miejsce zacienione od południa; rozmnaża się zaś albo z samych odrostków albo też rozdzieleniem starych krzaków. Lepiej jednak użyć dorostków, bo silniej się rozrastają, a przy tem tyle ich zawsze wyrasta, iż rzadko się wydarzy potrzeba użycia drugich. Rozsadzając odrosty na wiosnę, skrócie je trzeba aż do 10 cali, aby mniej z łodygi a więcej z korzeni wydały pędów czyli latorośli. Ponieważ łodygi raz tylko wydadzą owoc niszczą się, potrzeba je przeto koniecznie nie zaraz sierpem zrywać równo z ziemią. A że przez zbyt prędkie wzrost łodyg bardzo wyplenia się ziemia, potrzeba takową co lat trzy i częściej na nowo wygnoić. Niemniej nie trzeba dozwolić, by więcej nad trzy do pięciu rosło przy jednej łodydze odrostów. Słabsze i zbyt młode odrosty należy wyciąć zaraz w maju, również w ciągu lata nowo wyrosłe odrosty zaraz niszczyć trzeba. Młode latorośle rosną zbyt szybko, do jesieni bowiem dochodzą od 8 do 10 stóp, dlatego też przez lato powinno je się podpierać tyczkami, na zimę zaś takowe odjąć, a z następną wiosną poobcinać wierzchołki latorośli aż do miejsca, w którym łodyga jest zupełnie zdrowa i oczka ma dobre.

Chcąc się dochować malin z dorodniejszym owocem rozmnażać je trzeba z nasion. Do skrzynek na pół stopy głębokich, napełnionych liściową próchnią zasiewa się nasiona oczyszczone z mięsniwa, jakie jest w owocu, lub razem z niem zgniecione, poczem przysypawszy na cal ziemią i obłożwszy mechem, ustawia się to naczynie w miejsca ciepłe lecz zacienione. W kwietniu odłączyć trzeba mech, a w Czerwcu roślinki do szkółki roślin; a w trzecim roku przesadza się je do gruntu, które tegoż roku wydadzą owoce.

Oprócz zwyczajnych z czerwono włochatą jagodą chodujemy maliny z białą jagodą, a nadto od niedawna wprowadzają ogrodnicy różne gatunki amerykań-

skich malin, z czerwonym, brązowym i żółtym owocem, wielkości wiśni, smaku bardzo przyjemnego, a też szczególną posiadających własność, iż się ich robaki nie czepiają. Różnorodne są użytki z malin: najużyteczniejszy jest ich sok dla swego przyjemnego smaku i własności leczniczych. To też w aptekach poszukują zawsze jagód malinowych.

Życzyłoby też należało, aby w każdym wiejskim ogródku chodowano maliny, raz dla tego, że ich pielęgnacja łatwa, że nie wiele i ciemnego miejsca zajmują; powtóre, że za ich owoc można mieć i dochód pewien i sok nader smaczny i zdrowy, który przymieszany do wody z wielką przyjemnością daje się pić, tak choremu, jak i zdrowemu człowiekowi.

Stacho P.

O cukrze.

Cukier znajduje się niemal we wszystkich roślinach, które pożywane, jest w owocach, w zbożu, w ziemniakach, i t. d. Cukier się tworzy także w ciele zwierzęcem, prawie tak jak ze skropionej maki tworzy się ślód. A więc i ciało ludzkie jest cukrowiną. I dla ciała jest cukier ważnym pożywieniem. Cukier znajdujemy w jajach i w każdym soku zwierzęcym, i przeto jest jednym z głównych warunków onej maszyneryi, którą nazywamy życiem. Dowiedzionem jest, że cukier służy osobiście do wzrostu ciała, a z tej przyczyny spostrzegamy u dzieci takie pragnienie do owoców i cukru. — Prawda, że ciało z samego cukru wyżywić się nie może; ono żąda różnych pokarmów, z których jedne udzielają mu ciepła, drugie tworzą mięso, inne kości, a inne znowu tłuszcz.

Doświadczył tego uczoney Chosat na gołębiach, karmiąc je samym cukrem, t. j. dając im tyle cukru, ile zwykle pszenicy potrzebowały, lecz bez wody. — Gołębie domowe umarły czwartego dnia; leśne wytrzymały dni ośm. Podobną próbą wykonał p. Letellier, który jednak i z cukrem dał wody gołębiom, a te wytrzymały 16 dni. Na samej wodzie morzyły się gołębie 7 dni. Ztąd się okazuje, że sam cukier nie jest wystarczającym pożywieniem do życia. Z drugiej zaś strony, przekonano się, że cukier zostaje zupełnie w ciele strawionym i nie z niego nie odchodzi. Dla tego też zwierzątko z samego cukru się żywiące n. p. W cukrze zatem nie ma nic niestrawnego. Dr. Hoppe zaś doświadczał skuteczności cukru u psów, które go mogły wielką ilość zjeść, ani się im nie sprzykrzyły, chociaż im dziennie 3 do 6 funtów dawano, jako też w odchodach ich żadnego śladu cukru nie znaleziono, co znów potwierdza powyższe zdanie, że wszystek cukier ciało w sobie strawia. Nadto pies dostający oprócz zwykłej strawy także cukru, był o wiele cięższym i tłustszym; a zwłaszcza gdy dostawał samo mięso, przybyło go na wadze w 7 dniach o pół funta; gdy prócz mięsa dostawał cukru, przybyło go w 7 dniach dwa funty więcej.

To dowodzi, że cukier jest wielce pomocnym w karmieniu zwierząt, powiększa bowiem czynność organów trawiących, czyli jak uczeni tłumaczą: cukier zamienia się w kwas kiszkowy, a ten czyni sok kiszko-

wy zdolniejszym do wyciągania prawdziwie pożywnych części ze strawy, zaczem też i ilość odchodów jest mniejszą.

Cukier tedy nie jest sam w sobie tyle pożywnym, ile się przyczynia do należytego zużycia pokarmów, i to doświadczenie ważnym jest dla gospodarzy. Chociaż cukru gotowego żaden gospodarz bydła dawać nie będzie, bo by go drogo kosztowało, to przecież tem lepiej może ocenić użyteczność roślin cukrowych, jakie mi są: rzepa, burak, słoma kukurydzana, itp.

Zkąd poszło przysłowie: *Ślusarz zawinił, a kowala powieszono*. Osiek, miasteczko w Sandomierskiem nad Wisłą położone, jest gniazdem tego przysłowia. Razu jednego bowiem, ślusarz miejscowy popełnił jakąś ciężką zbrodnię, za którą na śmierć został skazany. Gdy jednak przyszło do wykonania wyroku, a rada miejska zauważyła, że jeden tylko był ślusarz w mieście, a ktoś napomknął o dwóch kowalach, niewiele myśląc kowala stracono, a ślusarz ocalał. Zdarzenie to rozeszło się na okolicę a następnie i po całym polskim kraju, bo dzisiaj, jak tylko kto niesprawiedliwie zostanie ukarany, powiadają zaraz: *Ślusarz zawinił, a kowala powieszono*.

Co znaczy przysłowie? *trafiła kosa na kamień*. To przysłowie stosuje się do ludzi równie zaciętych jak złośliwych, którzy pomimo szkodliwych i smutnych nieraz następstw swej złości, wzajemnie się ścierają, jak to jest zwyczajem głów twardych. A jak kosa uderzając o kamień i siebie i jego wyszczerbi, tak też i zaciekli przeciwnicy wspólne i dotkliwe ponoszą szkody.

Mysli. Wzajemne zaufanie sobie może tylko istnieć między dwiema istotami, równie cnotliwymi lub równie występniemi.

Jeżeli łańcuch przyjaźni kiedy zluzuje się, to może z czasem ścisnąć się: lecz węzeł miłości raz zerwany, nigdy się już nie zwiąże.

Ustawicznego gadułę porównać można do rozhukanej rzeki, która w wylewie swoim porrywa z sobą bez różnicy kwiaty, kamienie i chwasty.

JAK BARTEK WYKIEROWAŁ ZYDA?

Różnych ludzi chowa Pan Bóg na tej ziemi. Są uczeni i powatani, ale czasem znajdują się i pilni, którzy niejednego w pole wyprowadzą. Do tych właśnie należy Bartek Struga. Już to prawdę mówiąc, dużyoby trzeba przejść ziemi, by znaleźć drugiego takiego filuta. Gdy się zbiorą ludzie, to już mu gęba nie stanie;

klapie i klapie, a wszystko śmiesznie i żartobliwie, że się ludzie trzymają za boki od śmiechu i wesołości. — A gdy komu wyplata figla, to się dopiero ma spyszoa.

Raz zeszedł się przed młynem z Frankiem Ciurkiem i zaraz mówi do niego:

— No, i cóż tam słyhać u ciebie?...

— Nic nowego, mój kochany! — powie Franek — jeno myślę nad tem, jakby się przysłużyć naszemu żydowi w karczmie?...

Dobrze, zem cię spotkał!...

A Bartek powie na to:

— A za cóż chcesz dokuczyć żydowi? Czy ci co zrobił złego?

— Pewnie — rzekł Franek — mam na niego chrapkę!

— My mu już poradzimy! — powiedział Bartek. Chodźmy do karczmy!

Wszedłszy do szynkowej izby, zastali kilku gospodarzy, którzy coś tam popijali, a przed szynkwasem stał Abramek i nalewał do szklanek piwo.

Wszczęła się wnet żywa rozgadka, Bartek żartuje i żartuje, aż nareszcie żyd tak powiada do niego:

— Już tam mnie nie będziesz za nos wodził! Nie twoje doczekanie!

— A jak was zajdę z mańki? — spyta Bartek.

— Nie urósłeś do tego! — powie żyd. — To się nie stanie nigdy na świecie!...

— A jak się stanie?

— To fonduję cały wieczór dla tych wszystkich, co tu siedzą... Będzie piwo i gęsina...

— Na prawdę?

— Na prawdę, na moje sumienie! Będzie świadkiem stary Marcin. Prawda Marcinie?... dodał żyd rozdasany.

— A kiedy chcecie, by wam wyplatać figla? — zagadał Bartek.

— Kiedy ci się podoba! — dodał żyd już niechętnie.

— Dobrze, będę świadkiem! — wtrącił Marcin — ale niech to będzie nie za długo!...

— Może być jutro! — zawołał z uśmiechem Bartus — Pamiętajcież więc, moi gospodarze — mówił, zwracając się do nich, — że albo ja, albo Abramek będzie płacił!... Ale prędzej na niego padnie!

— Przystajemy! — rzekli gospodarze.

I na tem skończyła się sprawa. Bartek z Frankiem poszli z karczmy i uradzili drogą, by o tej a o tej godzinie zejść się na jarmarku. Bartek poszedł w jedną, Franek w drugą stronę.

Nazajtrrz wczesno rano przyszedł Bartek przed karczmę, a widząc, że jeszcze w niej ciemno, wlaź cichaczem do stajni, wyprowadził krowę, a potem puka do okna i woła:

— Abramku! wstawajcie, bo już czas do miasta!

Abramek zerwał się na równe nogi, wdział ubranie i wybiegł prędko z izby.

— Bartus! napij się wódki na szczęście! — powiedział przecierając oczy.

— Nie mogę odejść krowy! — bąknął Bartek — Wynieście tu przed karczmę!

Żyd spełnił wolę Bartka. Niebawem zabrał swoje rupiecie i ruszyli w drogę. Na dworze ledwie świtało.

— I nie żal ci to krowy? — rzekł Abraham do Bartka.

— Cóż mam robić, potrzebuję pieniędzy! — Tylko

to bieda, że ja nie mam szczęścia w sprzedaży... A niech mię jeszcze obaczy Franek, któremu jestem winien kilka reńskich, to będzie bal gotowy...

— To ja cię wyręcę — powie Abram, nie domyślając się niczego.

— Ej żebyście to tak byli dobrzy!...

— A dasz co za fatygę?...

— Dam trzy reńskie, jeżeli tyle weźmiecie, co żądam...

— Zgoda! — wykrzyknął żyd i uderzył w Bartkową rękę.

Niebawem przybyli do miasta. Bartek powierzyłszy krowę Abramowi, odszedł niby za sprawunkami, by się nie spotkać z Frankiem.

W tem nadchodzi Franek i spotyka Abrama.

— Cóż to macie krowę do sprzedania?.. Właśnie mi potrzeba krowy...

— A to kup odemnie; tanio si sprzedam, jeżeli dasz gotówką!...

— Ale zdaje mi się, że to Bartkowa krowa — mówi Franek, oglądając ją do koła. — Dał wam ją na sprzedaż?...

— Co ci się też roi w głowie? — fuknął Abram. Jabym sprzedawał Bartkową krowę?.. Czegóż jeszcze nie stało! Czyś oszalał?..

— A kiedy tak, to kupię! — odpowiedział Franek i wyrachował na rękę Abrama żadaną kwotę.

Wnet potem popędził krowę.

Wkrótce nadbiega Bartek i mówi do żyda:

— No, i cóż, sprzedana krowa?

— Sprzedana!

— A to wybornie! Dajcie pieniądze! Za fatygę macie trzy reńskie, a wieczór się obaczmy! Do widzenia!

Abram ucieszony, że w krótkim czasie tak pomyslny miał zarobek, szedł wielkimi krokami i myślał sobie:

— Jaki ten Bartek głupi, on mnie będzie uczył rozumu?... Tfu! na to ciasna jego głowa!...

Bartek zaś zeszedł się z Frankiem i śmiejąc się na całe gardło, powiada do niego:

— A to głupie żydzisko! Dopierośmy go zajęchali!...

Gdy zaś wieczór przyszedł do karczmy, śmiechowi i żartom nie było końca. Żyd kłął bez ustanku, lecz musiał dawać napitek i przekąskę, bo Bartek miał pieniądze w kieszeni, a Franek w swojej stajni krowę.

A stary Marcin tak się odzywa:

— Ot udało się Bartku! Ale stokroć byłoby lepiej, żeby włościanie innemi sposobami nie dali się okpiować żydom!... Ale tu potrzebny rozum, nam go koniecznie potrzeba, bo nas żydzi za nos wodzą... Rozumu jednak brakuje nam duchem, a to bieda wielka!...

Nazajtrrz oddał Franek żydowi krowę, gdy Bartkowi oddał na jarmarku wzięte pieniądze. Abramek trząsał się ze złości, że tak głupi zrobił interes.

— Odbeczaj za to inni! — mruknął pod nosem. — Żeby was licho porwało, że ja nie poznałem mojej krowy! I jeszcze dałem wódki!

Oj kiedyż to nastaną czasy, że żyd nie będzie mógł być pijawką chłopka?.. Nanki, nanki! a będzie inaczej!

Józef z Bochni.

Kierujący piśmie: Fr. Ksaw. Martynowski.

Redaktor odpowiedzialny: Wincenty Kordecki.